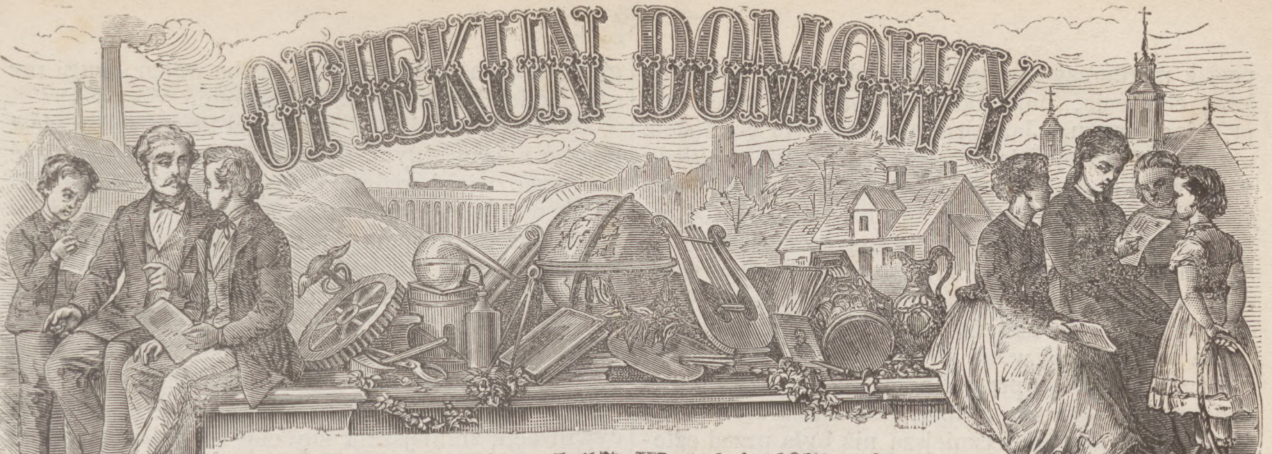


Warszawa, dnia 5 (17) Września 1870 roku.

№ 37. | Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. | Rok VI.

WOJNA.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 36-y).

Zastanówmy się bowiem nad tem, co wojskowi teoretycy nazywają postępem swéj sztuki. Oto wynajdywanie coraz nowych środków szybkiego i niezawodnego mordowania nieprzyjaciela, co raz nowych sposobów burzenia i niszczenia jego środków obronnych, co raz nowych wreszcie lub udoskonalonych teorji pokonywania go i zwyciężania za pomocą zręcznych manewrów. Wynaleziono proch; był to w przekonaniu wojowników postęp ogromny w téj sztuce. Pracowali też niezmiernie nad jego wydoskonaleniem, nad sposobami otrzymywania go najtaniéj, nad wymyślaniem strzelb najdogodniejszych w użyciu, przenoszących



Żydzi powracający z domu modlitwy.
(Obraz Franciszka Kostrzewskiego, z Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim).

pocisk morderczy na najdalszą odległość, z największą celnością, największą liczbą razy w danym przeciągu czasu. Jak ogromny pod tym względem uczyniono postęp, dosyć tego przykładu: że kiedy w XV wieku do nabicia muszkietu i wystrzelenia raz jeden potrzeba było kwadrans czasu, my od roku 1866 mamy iglicówki i chassepoty strzelające 15 razy na minutę, to jest 225 razy częściéj. Przypuśćmy nadto, że broń teraźniejsza niesie tylko o 10 razy daléj niż owa starożytna, i że w téj odległości trafia z pewnością w cel 10 razy mniejszy,—a przypuszczenia takiego przesadnem wcale nazwać niepodobna,—wypadnie, że dzisiejsza nasza broń palna jest 22,500 razy skuteczniejszą niż była przed czterema wiekami. Co za okropny stosunek!... Tą samą ilością sztuk broni, w tym samym czasie można dać dzisiaj 2,250 razy więcéj trafnych strzałów niż niegdyś, i to na dziesięćkroć większą odległość, dziesięć zaś sztuk broni, pewno nie więcéj dziś kosztuje niż w XV wieku jedna. A nie tylko pod tym jednym względem postąpiła sztuka wojenna. Oprócz udoskonalonych strzelb, powynajdowano mnóstwo innych narzędzi i machin morderczych i niszczących środki obrony przeciwnika, tak dalece, że już dzisiaj fortece straciły swoje pierwotne znaczenie, bo nie ma murów tak grubych, ani oszańcowań tak daleko wysuniętych, żeby ich niedosięgły i nie zgruchotały działa oblężnicze nieprzyjaciela.

Oprócz tego, gdy za dawnych czasów każdy broń dźwigać umiejący był niejako z rodu żołnierzem, ale tylko w chwilach wojny chwytał za broń i nie miał innéj sposobności wyćwiczenia się w sztuce wojowania oprócz praktyki, w nowszych czasach umiejętność wojowania podniesioną została do stanowiska nauki, a praktyka i ćwiczenia w téj sztuce są przedmiotem nieustannego zajęcia miljonów ludzi, oddanych wyłącznie rzemiosłu Marsa i stanowiących tak zwane *armje stałe*. Wiadomo jaka jest wyższość wyćwiczonego żołnierza nad ochotnikiem człowieka nauczonego władać bronią, znającego wszystkie jéj tajemnice, mającego potrzebną wprawę w jéj użyciu, nad tym, który ją po raz pierwszy, albo rzadko tylko i dorywczo chwyta do ręki. Wiadomo jak ścisłe i dokładne są manewra zbiorowe żołnierzy wyćwiczonych, jak trudne do wykonania i źle wykonywane ruchy ochotników, choćby największym ożywionych zapałem; wiadomo także jaka zachodzi różnica między karnością starych żołnierzy, a karnością na ochotnika gromadzących się partyzantów lub nieobytych z szeregowem życiem rekrutów.

Wszystko to zatem jest postępem w militarnem znaczeniu tego wyrazu, i zaprawdę, gdyby tylko w ten sposób cywilizacja oddziaływała na sztukę wojenną, trudnoby pojąć jakim cudem świat do dzisiaj się nie stał jedną wielką rzeźnicą, wzajemnie mordujących i tępiących się ludzi.

Kiedy jednak tak nie jest, kiedy mimo tych wszystkich postępów saméj sztuki wojowania, pomimo tego nadzwyczajnego wzrostu umiejętności przenoszenia śmierci w szeregi nieprzyjacielskie, wojny nie są ani tak krwawe, ani z takiemi strasznemi klęskami połączone jak dawniéj, oczywiście cywilizacja musi jeszcze i w inny sposób oddziaływać na militaryzm, na ducha wojennego.

Zastanówmy się bliżéj nad tem oddziaływaniem. Postęp cywilizacji dwojako działa na wojowniczego ducha, raz zmniejszając liczbę wojen, drugi raz czyniąc ich klęski mniéj strasznemi.

Że postęp cywilizacji zmniejsza liczbę wojen, jest faktem niezawodnym. Aby się o tem przekonać, dość porównać wieki średnie z naszemi. W wiekach średnich wojny były ustawiczne; byle kaprys człowieka mogącego rozporządzać pewną liczbą uzbrojonych ludzi, był już dostatecznym do zakłócenia pokoju. W naszych czasach zdarzyło się, że przez czterdzieści lat z rzędu (1815—1854) cała Europa, z wyjątkiem miejscowych powstań i rodzin, była niemal zupełnie wolną od wojen międzynarodowych.

Stało się to skutkiem tego jedynie, że z postępem cywilizacji, zmniejszała się ciągle liczba przyczyn wywołujących wojny. Tak naprzykład, że tylko najważniejsze wymieniemy: iluż to wojen w dawnych czasach były przyczyną przekonania religijne, ileż to razy jedno państwo porywało za oręż aby zwalić jaką taryfę ceiną, albo jakie cło protekcyjne, ustanowione w państwie sąsiedniem, ileż razy wywoływała wojnę jaka ujma czy obraza uczyniona posłowi jednego państwa w drugiem, lub krzywda zrządzona poddanym obcego narodu. We wszystkich tych razach już dziś nikt nie chwyta się do oręża, bo postęp cywilizacji rozszerzył pojęcie tolerancji w rzeczach religji, pojęcie wolności handlowéj, a dyplomację postawił na tym stopniu, że pomniejsze, często zaś nawet i ważniejsze sprawy, rozstrzyga nie orężem, ale pośrednictwem mocarstw neutralnych, sądem polubownym, konferencją albo kongresem. Tak parę lat temu, kwestja Luksemburska, którąby za dawniejszych nieco czasów z pewnością popchnęła pół Europy do oręża, pokojowo załatwioną została.

Oprócz tego, postęp zniechęca ludy do wojen, co nie trudno jest udowodnić. W miarę postępu coraz liczniejsze stają się klassy ludzi, którzy pokojowéj pracy zawdzięczają dobrobyt, którzy zatem z własnego interesu z niechęcią patrzeć muszą na to co ich mieniu i ich spokojowi zagraża. W ten sposób gaśnie w narodzie zapał wojowniczy, będący tak powszechnym u ludów stojących na niskim stopniu cywilizacji lub barbarzyńskich. U ludów, które mało postąpiły w cywilizacji, u których ani umiejętności ani sztuki nie kwitną, jedynym środkiem odznaczenia się dla wyższych umysłów, jest wojna. Przeciwnie u ludów cywilizowanych, mając inne sfery odznaczenia się, właściwsze ludziom pracującym umysłem, ludzie wyższego umysłu i wykształcenia zaczynają unikać służby wojskowéj.

Taka niechęć do bojowych zapasów najpoważniejszéj części opinji oddziaływać musi na rządy, a te znów, ze względu na tę opinję, z którą—także skutkiem wpływów postępu—coraz bardziéj rachować się muszą, coraz mniéj są pohopnemi do rozstrzygania orężnego swoich zatargów.

Oto są główne przyczyny, które zmniejszają ilość wojen i czynią je rzadszemi; zobaczymy teraz w jaki sposób postęp cywilizacji wpływa na uczynienie wojen więcéj ludzkiemi, na zmniejszenie klęsk jakie zadają, na skrócenie ich trwania.

Z postępem cywilizacji ludy zrozumiały, że wojna jest złem, że jeżeli to złe jest jeszcze koniecznem, jeżeli bez niego w pewnych razach obejść się niepodobna, potrzeba o ile podobna to złe ograniczyć. Za dawniejszych czasów prowadzono walkę całkiem bezwzględnie. Obie strony powodowały się tylko namiętnością, nieznającą żadnego hamulca, żadnych

prawideł. Pustoszono sobie wzajemnie kraje, mordowano bezbronnych mieszkańców, nawet starców, kobiety, dzieci, niszczono albo rabowano ich mienie, słowem popuszczano zupełnie wodze zwierzęcości natury ludzkiéj, która w rozwścieklenia bojowem granic nie znała. Z uobyczajeniem i wykształceniem stopniowem człowieka, spostrzeżono się, że niejedna krzywda zrządzona bezpotrzebnie nieprzyjacielowi, wywołuje tylko jego odwet, również nie mający innego celu prócz pomszczenia doznanéj szkody. Jedna strona paliła miasta i pustoszyła prowincje drugiéj, choć to bynajmniéj nie przechylało dla niéj szali zwycięztwa, czyniła więc to samo i druga, choć jéj to do zwycięztwa nie było potrzebne. Była to złośliwość, na któréj w końcu każda strona wychodziła tak, jakby ją zrobiła saméj sobie. Spostrzeżono się więc, że wojna może się odbywać w pewnych warunkach, jak naprzykład pojedynek dwóch ludzi, którzy pragnąc orężem rozstrzygnąć swój zatarg, nie potrzebują przecież ani targać się wzajemnie za włosy, ani szarpać na sobie odzieży.

Dążyć zatem zaczęto do przepisania pewnych warunków, które i w wojnie szanować należało. Tak powstało *prawo narodów*, którego jedyną powagą jest to, że je wszystkie narody cywilizowane przyjęły i że go dochowują po większéj części, dopuszczając się tylko niekiedy, w chwilach zbytniego rozgrzania wojennych namiętności, drobniejszych przeciw niemu wykroczeń.

Takie przyjęto zasady, które są chlubą cywilizacji i które w nadzwyczajnym stopniu grozę wojny zmniejszyły, zasady zabraniające traktować po nieprzyjacielsku osoby albo własność ludzi prywatnych, nie biorących w wojnie udziału, zabijać jeńców albo rannych, traktować niepoludzku wziętych do niewoli, odmawiać pomocy rannemu nieprzyjacielowi. Dziś wojsko płaci za dostarczoną sobie żywność nawet w kraju nieprzyjacielskim i tylko w razie gdyby mieszkańcy nie chcieli jéj dostarczyć, gwałtem ją bierze; dziś nawet jeniec wojenny pozostaje oprócz rynsztunku wojennego, panem swoich pieniędzy i wszystkiego co ma przy sobie, a co dawniéj jako łup zabierano. Oprócz tego, na morzu zniesiono korsarstwo, zabroniono zaboru towarów nawet nieprzyjacielskich (z wyjątkiem kontrabandy wojennéj), jeżeli się znajdują na okręcie neutralnego mocarstwa i towarów należących do państw neutralnych, nawet gdyby się znajdowały na okręcie nieprzyjacielskim, a wreszcie postanowiono, że w razie wybuchu wojny, okrętom nieprzyjacielskim zostawia się termin dostateczny do wypłynięcia z portów wypowiadającego wojnę państwa, wraz z ich ładunkiem.

Wszystko to zmniejsza klęski wojny, która w takich warunkach ma się do wojen prowadzonych dawniéj, jak pojedynek prowadzony według wszelkich prawideł, któremu się neutralni z całym spokojem przypatrywać mogą, do karczemnéj bójki na pochwytane w gniewie pałki, siekiery albo noże, przy któréj najczęściéj i neutralnym się oberwie.

Rola państw neutralnych w wojnach dzisiejszych dąży także do umniejszenia klęsk wojny. Starają się one pośredniczyć między stronami, a gdy pośrednictwem nic wskórać nie mogą, dążą przynajmniéj do *zlokalizowania* wojny, czyli zamknięcia jéj w ile podobna najciaśniejszym zakresie, ograniczenia w obrębie tych państw, między któremi wybuchła.

(*Dokończenie nastąpi*).

CIEŚLA POGORZELEC.

W piersiach mi burza, w mózgu wre mi szał...
Wszystko jak sen!
Jam wziął po ojcach tylko wiary zdrój
I topór ten;
I wkrótce domek bieluteńki stał,
W nim był mój świat!
W nim młoda żona i jedynak mój
Synek dwóch lat!
Jedna chwila... jedno mgnienie...
Groźny żywioł rozsrożony
Wszystko w krwawe swe płomienie
Objął straszny, rozwścieklony
Bezlitośny wróg!
Na dzieciątko me uśpione
W swym oddechu śmiercią zionął,
Potem żarem piekieł spłonął
I uściskiem objął żonę...
Gdzie jest, gdzież jest Bóg!...
Jest Pan, jest Mściciel, srogi Szafarz kar!
Lecz Ojciec gdzie?!
Czuję chłoszczącą, krwawą Jego dłoń
Co serce rwie.
Ach pierś zalewa zgraja strasznych mar,
Czarnych jak noc!
Ciemną, bezduszną widzę w dali toń...
W niéj piekła moc!...
Został mi topór, świadek szczęścia dni...
Ku mnie się zwróć,
Utop stal ostrą w rozszalałą skroń!
Męczarnie skróć!
Gdzie moja żona, gdzie mój synek lśni
Gwiazdką wśród mgły,
Duchu stęskniony tam za nimi goń
Tam oschną łzy!

* * *

ANIOŁ.

Duszo zbłąkana, boleścią złamana!
Ocknij się z szału, wyrok przyjm w pokorze,
Cierp, wierz i kochaj, i módl się do Pana,
Czuwaj, bo wiedzie ciebie na rozdroże
Szatan, twój wróg!
Ból co cię krwawi, ten ból ciebie zbawi!
Przez krew i boleść ten świat odrodzony!
Krwią odkupienia nieś swój krzyż zroszony,
Męczeństwu twemu z Nieba błogosławi
Ojciec nasz, Bóg!

Witold Jaroszyński.

WIECZOREM, W OGRÓDKU.

(Dokończenie, patrz Nr. 35-y).

O czém myślą ci ludzie? Czy im wspomnienia młodości przed duszą stanęły? Czy im przypomniały się owe chwile, w których do ich rodzinnego miasteczka, zawitała po raz pierwszy wędrowna truppa aktorów? Czy widzą wśród tych wspomnień grono osób drogich rozproszonych po świecie lub odpoczywających pod ziemią, siedzących tak jak oni obecnie siedzą, tylko nie w ogródku, lecz w jakiéjś szopie w któréj teatrzyk urządzono, przed kurtyną, na któréj nie rycerz żaden, ale lutnia była wymalowaną, a na lutni w poprzek spoczywała rózeczka wawrzynowa? Czy im w duszy rozlega się brzmienie kapeli w któréj skrzypce grały jak głos dziecka karanego rózeczką przez matkę; klarnet jak pianie koguta zakatarzonego, a basetla jak wycie wichru w czeluściach komina?

Czy wspomnienia te, wskrzesiły w nich choć iskrę tego zachwytu, z jakim spoglądali wtedy na ową kurtynę, słuchali owéj kapeli i oczekiwali zaczęcia jakiegoś dramatu, strasznego, okropnego, przeraźliwego dramatu?

Czy zadrgało im serce owem rozkosznem, nieporównanem wzruszeniem, jakże uczuli, gdy za uchyloną krawędzią kurtyny, ujrzeli parę nóg artysty stojącego na scenie — ale jakich nóg! obutych w płowe bóty z wyłogami, i ostrogami...

Czy na wspomnienie rozpoczęcia się widowiska, zamiera im w piersiach oddech z rozkoszy i uwagi natężonéj, na widok jakiegoś czcigodnego pustelnika z białą do kolan sięgającą brodą — szarpanego przez kilku rozbójników ustrojonych w strusie pióra, hiszpańskie płaszczyki, bóty żółte z ostrogami — i uzbrojonych w miecze, puginały, pistolety, i samopały. Pustelnik zagrożony utratą życia nie chce wyjawić jakiéjś tajemnicy, —co za szczytny charakter! Zbójcy przykładają mu pistolety do czoła, a puginały do piersi,— co za okropność! Ale pustelnik nic, ani drgnie, trwa w swojem.... zbójcy nalegają i gotują się wydrzéć mu życie.... jeszcze chwilka, a zginie nieszczęsny.... krew zamiera w żyłach widzów. W tęm, wpada jakiś rycerz, wprawdzie ubrany i uzbrojony tak samo jak bandyci, ale daleko pyszniéj, wpada i krzyczy:

— Stójcie!

Zbójcy wypuszczają ofiarę ze swych rąk i cofnąwszy się krokiem tragicznym nieco wstecz, trzymają prawice na rękojeściach swych oręży, mierząc rycerza strasźliwym wzrokiem...

Pustelnik wyciąga doń wychudłe dłonie i woła:

— Ratuj starca niewinnego!

Wtem rozlegają się strzały za sceną.

Rycerz kładzie trupem zbójców niektórych, inni pierzchają przez drzwi i okna. Pustelnik ocalony!

Ha! oddychamy przecież. Dzięki Bogu! Cnota tryumf odniosła— zbrodnia ukarana. Dzięki Bogu!

Uszczęśliwieni widzowie szukają wzrokiem swych bóstw, a modrookie bóstwa, z pod powiek błyszczących łezkami rozrzewnienia odpowiadają im wejrzeniem, w którem najwyraźniéj czytać się daje, że właścicielki tych ocząt, owe bóstwa świetlane młodości i zachwytów, poczytują ich za takich samych rycerzy bez strachu i zarzutu, jak ten, co ocalił na scenie owego pustelnika... co za rozkosz uczuwać się takim rycerzem, i za takiego być poczytywanym, przez takie nadludzkie istoty, spoglądające takiemi anielskiemi oczętami.

Ale słychać odgłos dzwonka. Wspomnienia młodości pierzchnęły. Rzeczywistość przekonywa was, że... troszeczkę wam chłodno, troszkę wilgoć wam dokucza — dostaliście kataru, że wróciwszy do domu, trzeba będzie nos łojem wysmarować i napić się bzowego kwiatu na poty.

Po raz drugi dzwonek się rozlega, zasłona się podnosi, i oto spoglądacie okiem roztargnionem na widowisko, myśląc w duszy o tem, że żona będzie się gniewać za to, że późno wrócicie do domu— a jeszcze bardziej za to, że dostaliście kataru —jeszcze bardziéj za to, że odór kminkówki i aromat cybuli spożytych przez was zrazów nelsońskich, pomięszane z wyziewami bawara i cygar— oddech powitania małżeńskiego, uczynią nader podejrzanym i wywołają pewne monita i potrzebę tłómaczenia się, usprawiedliwiania się, i wreszcie zwalenia winy na przyjaciół, którzy *wciągnęli was* do ogródka!

Ale mniejsza o to— burza jeszcze daleko. A nuż żoneczka będzie sobie spała, a wy cichaczem wsuniecie się do mieszkania, i udając niewiniątka, potraficie bez obudzenia damy swych myśli, rozebrać się, położyć się, zasnąć— a nazajutrz przy wolnéj myśli jakąś wymyślić historyjkę, któraby od was impet burzy oddaliła?

Pokrzepieni tą myślą, spoglądamy życzliwie na grę artystów, śmiejemy się z ich figlów scenicznych, przyklaskujemy sukcesom, odzywamy się głośno ze swem zdaniem i bawimy się wyśmienicie. Otóż jakieś dwie czy trzy panie, powstały z miejsc i oglądają się po widzach. Szmer niezadowolenia daje się słyszeć na tę manifestację dam, a któryś z widzów śmielszéj natury odzywa się donośnie:

— Ej — panie! łaskawe panie! proszę tam usiąść i siedzieć, na mój rachunek!

Publika brawem rzęsistem wita śmiałą interpelację widza — aktorowie przestają grać, podzielają wesołość spektatorów i oddają się rozważaniu agitacji owéj — damy siadają, a z łona publiki rozlega się znowu głos:

— A wy tam rznijcie swoją sztukę, kury do indyków nie należą, słuchamy!

Rozlegają się znowu oklaski uradowanéj nową interpelacją publiki, a wśród śmiechu i ukontentowania ogólnego, dwie artystek ze sceny prowadzą tymczasem przyjacielski dyalóg ze znajomymi sobie widzami siedzącymi w piérwszych ławkach.

— Cóż tedy daléj? a więc? znowu rozlegają się interpelacje ze strony widzów do aktorow.

Sufler wysuwa głowę z budki i krzyczy na głos do artysty gapiącego się w milczeniu:

— Zaczynaj że, zjadłeś pan sto par djabłów!

Artysta takimże głosem, udziela suflerowi replikę w tych słowach:

— Zjedz jedno ucho, a będziesz miał pełne brzucho!

Publika homerycznym śmiechem wita replikę— sufler kryje się w budce i zaczyna podpowiadać rolę z rozpaczliwą doniosłością w głosie.

Przerwana na chwilę sztuka, toczy się swoim trybem. Następują antrakty, długie nieskończone antrakty. Obleganie bufetu: strzelanie z wiatrówki do wroga człowieczeństwa na desce wymalowanego. Pukanie laskami— i t. d.

Nareszcie widowisko się kończy!

Już po północy! troszkę zapóźno, ale co ubawiliśmy się, to ubawiliśmy! I tanio, i miło, i długo.

Wśród wracających do domów spektatorów, słychać zdania:

— No, znośnie! znośnie! nie ma co mówić. Starają się nieboracy jak mogą. Mogłoby być lepiéj, ale mogłoby być i daleko gorzéj.

— A ja panu powiadam, że nie tylko nieźle, nie tylko znośnie, ale wcale dobrze. Albo to raz na teatrze Rozmaitości grają gorzéj daleko?

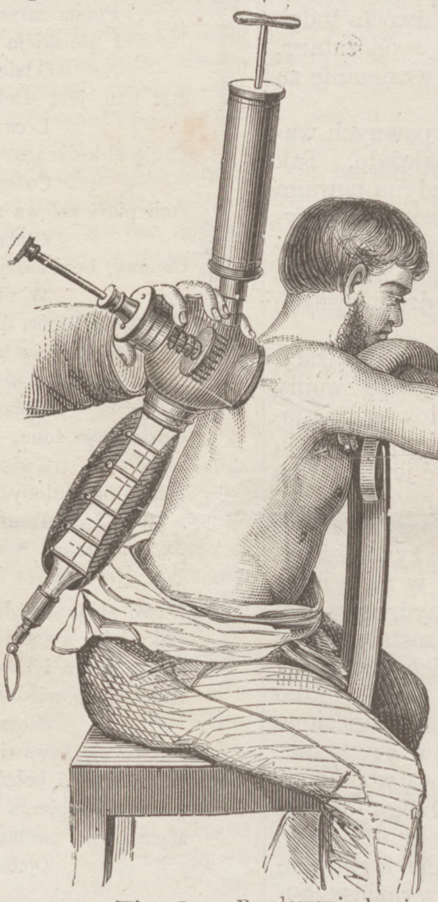


Fig. 1. — Przelewanie krwi.

— Co to, to nie. Ale zawsze grają wcale znośnie— i nie żal przepędzonego czasu na takiem widowisku.

— Przynajmniéj człowieka ani uszy, ani oczy nie bolą— tak jak to zdarza się tym, co to rzucają wieńce na cześć zagranicznym chodzącym pekeflejszom.

— Przynajmniéj można tu przyprowadzić żonę i dzieci....

— A naturalnie! i to za małe pieniądze.

— I piwka się napić, i cygarko paląc słuchać i patrzyć— i co przetrącić!

— A wcale niezłe piwko.

— I klar ma, i mus ma!

— Żeby tylko przed dziewiątą zaczynali i przed północą kończyli.

— To coby bufet zarobił?

— Pal go tam licho i z bufetem. *Aleksander Osipowicz.*

PRZELEWANIE KRWI.

Pzyrząd Doktora Franciszka Gezeliusa (z Petersburga).

Szczęśliwa myśl wlewania, zaczerpanéj ze zdrowego subjektu krwi w żyły chorego, celem uzdrowienia, lub przedłużenia życia temu ostatniemu, powstała jeszcze na początku siedemnastego wieku. Magnus Pegelius, Doktór Medycyny i Professor Uniwersytetu w Rostoku, pierwszym był, co powziął i wypowiedział myśl tę w roku 1610.

Andrzéj Libavius Doktór Medycyny w Koburgu, przelewanie krwi z arterji zdrowego człowieka, w chorego wenę, radził uskuteczniać za pomocą srebrnéj rurki. W skutek czego Klerk i Henschau około roku 1664 odbyli na bydlętach kilka prób przelewania krwi. Ale dopiero Ryszardowi Lauer z Oxfordu, w roku 1667 na dniu 23 Listopada, udało się odbyć pomyślnie taką próbę na żywych ludziach.

We Francji w r. 1667 lekarze: Jan, Denis i Emmerets pierwsi wykonali tę operację na bydlętach; następnie, na dniu 15 Czerwca tegoż roku krew z arterji szyjowéj jagniątka przeleli oni w wenę kobiety, ruszonéj paraliżem. Chociaż operacja ta powiodła się najzupełniéj, chociaż, prawie jednocześnie i Doktór Knig i Lover, przelanie krwi z arterji jagnięcia, po dwakroć w żyły jednego i tegoż samego indywiduum, odbyli także z dobrym skutkiem, z tem wszystkiem, z powodu zawiści lekarzy, którym się operacje takie nie udawały wcale, przelewanie krwi, jak w Anglji i Francji, tak też i w innych krajach, nie budziło zaufania publiki, która jako mniéj świadoma naukowych sporów, została po stronie opozycji.

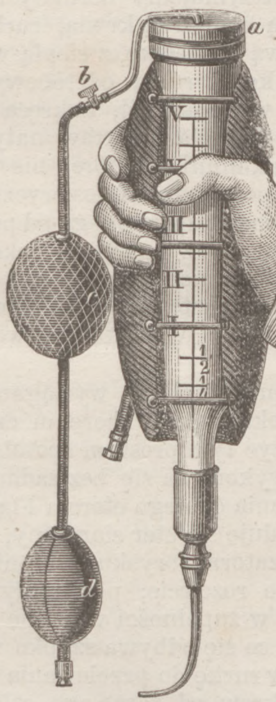
W Niemczech w roku 1668 Baltazar Kaufman z Kistrzyna i Godfryd Purman, pierwsi z arterji jagnięcia, przeleli krew zdrową w żyły dwóch żołnierzy, długo chorujących na skorbut.

We Włoszech, podobnież w latach 1667 i 1668 odbywali próby i prawie zawsze pomyślnie, lekarze: Fracassati, Kassini, Riva, Manfredi i inni.

Jakkolwiek wszystkie te próby, ze względu na skuteczność operacji, odbywały się z powodzeniem, jednakowoż, napotykały one wszędzie zawistne sobie elementy, głównie wśród Medyków, tak dalece, że z czasem uległy zapoznaniu, a następnie, zupełnie zaniechane, poszły w niepamięć.

Dopiero na początku teraźniejszego stulecia, Hufelandowie ojciec i syn, a także uczony Pol-Szeele lekarz Kopenhagski, podnieśli tę myśl, doradzając chorym swoim, wlanie w ich żyły zdrowéj krwi, zwłaszcza, przy niebezpiecznych krwotokach. Przyłączył się do nich znakomity K. T. Graefe, który wynalazł był aparat odpowiedni pomysłowi, opisany w roku 1815, przez jego ucznia lekarza Teft. W tym właśnie czasie, odbyto mnóstwo prób na bydlętach, co doprowadziło do wniosku: że przelewanie krwi praktykować można między bydlętami jednego tylko i tegoż samego gatunku, a to dla wielkich różnic jakie zachodzą u różnorodnych bydląt, co do wielkości krążków krwistych.

W roku 1818 Angielski lekarz i akuszer Dżon Blёndel, dość pomyślnie używał tego środka, z chorującymi na raka, za pomocą szprycowania; zaś Doktór Deblde we Wrześniu 1825 wykonał takąż operację z kobietą cierpiącą na krwotok. Tenże sam ponawiał takową w licznych wypadkach krwotoku, sto dwa razy, z tych 68 operacji wykonał z najle-



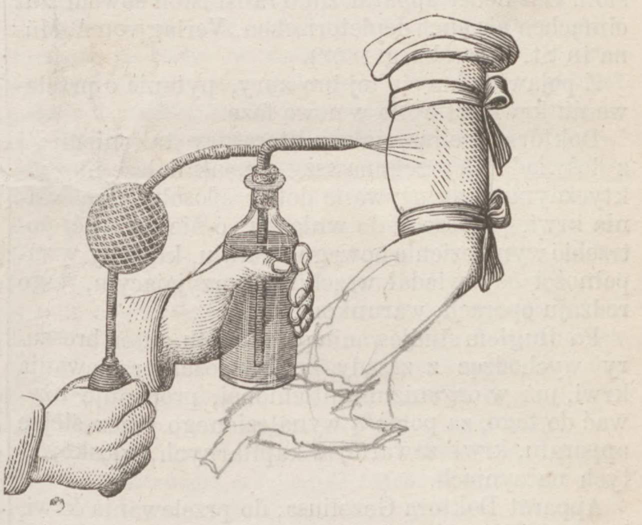


Fig. 2. (Przelewanie krwi). Fig. 3.

pszym skutkiem, trzydzieści jedna zakończyły się śmiercią chorych.

Mniéj pomyślne rezultaty przelewania krwi, zwłaszcza w wypadkach otrucia, niektórzy lekarze starali się objaśnić tem: że krew z weny wzięta do tego użytku, nie mogła zapewnić dobrego skutku, jako pozbawiona tlenu. A że otwarcie arterji większego kalibru, grozić mogło niebezpieczeństwem, zatem poczęto wlewać krew, która już uprzednio była upuszczoną z weny i utleniła się przez bezpośrednie z powietrzem zetknięcie. Wielu bardzo z doświadczonych i umiejętnych lekarzy, jak Deve, Degranż, Domme, Szulc i Professor Martin, powstawali przeciw takiemu sposobowi przelewania krwi, dowodząc, że sztuczne utlenienie krwi, za pomocą bicia różczką na powietrzu, czyni ją niezdatną dla życia, gdyż pociąga za sobą konieczne uszkodzenie całości krwawych krążków. I rzeczywiście, samo doświadczenie mówiło za słusznością mniemania tego, stronnicy jednak sztucznego krwi utleniania, pozostali przy swojem zdaniu.

W takim stanie kwestja ta, przetrwała aż do naszych czasów.

W roku 1868 w St. Petersburgu pojawiła się broszura, napisana przez Doktora Franciszka Gezeliusa, w niemieckim języku, pod tytułem: „Nowy aparat do przelewania krwi, jak prostego tak i depletorycznego“ (Capillarblut undefibrinirtes zur Transfusion. Ein neuer apparat zur Transfusion sowohl zur einfachen als auch depletorischen. Verlag von A. Müna in St. Petersburg 1868).

Z pojawieniem się téj broszury, pytanie o przelewaniu krwi, wstąpiło w nową fazę.

Doktór Gezelius, jak z literatury tak niemniéj z doświadczeń przekonawszy się, jak dalece niepraktycznymi były używane dotąd sposoby przelewania krwi, przyszedł do wniosku: o nieodzownéj potrzebie wynalezienia nowego aparatu, któryby w zupełności odpowiadał wszelkim sprzyjającym, tego rodzaju operacji, warunkom.

Po długiem studjowaniu przedmiotu, autor broszury wychodząc z zasady konieczności przelewania krwi, już w organizmie utlenionéj, proponuje używać do tego, za pomocą wynalezionego przez siebie apparatu, krwi zawartéj w kapilarnych, włoskowatych naczyniach.

Apparat Doktora Gezeliusa, do przelewania krwi, jest to wielka szklanna bańka. Na wierzchu téj szerokiéj bańki, znajduje się hermetycznie zaszpuntowany i w mosiężnéj pochewce zamknięty sprężynowy banieczník z 19-ma jeden na przeciw drugiego umocowanemi nożami, z wierzchu i z boku bańki, przytwierdzona niewielka pneumatyczna pompka. Na przeciwległéj stronie bańki, nieco niżéj, znajduje się wielki okrągły otwór. Do tego otworu przyśrubowywa się swoim szerokim końcem rurka, mogąca wmieścić w sobie do 4 uncji krwi; na niższy, zaostrzony koniec téj rurki, opatrzonéj srebrną oprawą, nakręca się krótka skówka, mająca formę naparstka. Cała ta bańka a także rurka, opatrzone gutaperkowemi pochewkami, w które się wlewa ciepła do 30 R.^{0} woda, dla udzielenia apparatowi nieodzownéj ciepłoty krwi. Bańka ta, razem z przyszrubowaną do niéj rurką, po napełnieniu gutaperkowéj pochewki, okrążającą ją ciepłą wodą, stawia się na łopatce zdrowego człowieka, z którego ma być wzięta kapilarna krew, w taki sposób, żeby hermetycznie przytwierdzona do bańki rurka, wisiała perpendykularnie, jak to wskazano na rysunku Fig. 1. Następnie, za pomocą pneumatycznéj pompki, mniéj jak w pół minuty wyciąga się wszystko powietrze, znajdujące się w bańce i w przyśróbowanéj do niéj rurce; poczem skóra łopatki wciąga się w bańkę i z chwilą, gdy już to staje się zbyt nieprzyjemnem dla człowieka na którym odbywa się operacja, opuszcza się podniesiona wcześnie sprężyna banieczníka i noże rozcinają skórę, co daje, jak upewniały osoby podległe téj operacji, bardzo przyjemne wrażenie, po przykrem uprzednio czuciu, wciąganiem się skóry w bańkę, sprawianem. Wraz z rozcięciem skóry następuje obfite wylanie kapilarnéj krwi, ściekającéj przez bokowy otwór banki, do zwieszonéj perpendykularnie rurki, posługującéj do przelania krwi; rurka ta bystro napełnia się krwią. W ten sposób, napełniona krwią rurka, szybko i ostróżnie odśróbowywa się od bańki i na szeroki jéj otwór nakręca się srebrna pokrywka, z któréj wychodzi opatrzona kranem rurka; na ostatniéj rurce, znajduje się gutaperkowy nagniatacz. W taki sposób, z obu końców, otrzymujemy hermetycznie zakrytą rurkę napełnioną kapilarną krwią, rurkę, obwiniętą w gutaperkową pochewkę, z ciepłą wodą. Następnie, z niższego końca rurki, odśróbowywa się srebrna skówka, a w miejsce jéj, nakręca się wygięta cienka kaniula. Kapilarna krew natychmiast dochodzi do otworu kaniuli, z któréj nie wycieka, dla braku ciśnienia powietrza atmosferycznego na powierzchnię płynu, zabezpieczonego od powietrza pokrywką. Żeby więc krew mogła wyciekać z kaniuli, należy odkryć wspomniony kran rurki na srebrnéj pokrywce; wtedy następuje ciśnienie powietrza i krew w tejże chwili wycieka z otworu trokaru Fig. 2.

Ale nim się przystąpi do wyciągania krwi ze zdrowego człowieka, należy choremu czy też umierającemu, otworzyć tym prostym sposobem, żyłę na ręku, co także wykonywa się bez zadania bólu, za pomocą znieczulenia chorego eterem Fig. 3.

W bańce, znajduje się eter siarczany, którym, za pomocą pulweryzatora, spryskuje się miejsce, gdzie ma być czynione rozcięcie; pod wpływem eteru, miejsce to, traci w zupełności wszelkie czucie. Po otworzeniu żyły, co się odbywa szybko wyżéj podanym sposobem, w rurkę do przelewania krwi służącą, nabiera się krew od zdrowego człowieka i po otworzeniu nożycami niewielkiego w żyle otworu, wstawia się weń koniec kaniuli, przyśróbowanéj do przelewacza (rurki do przelewania krwi) Fig. 4. Przez naciśnienie sprężyny na pokrywce, podnosi się na niéj klapa i krew wolno i regularnie ścieka w chorego ciało, w kierunku do serca. Jeśli się bieg krwi zatrzymuje lub opóźnia z jakiéjbądź przyczyny, to w takim razie, przez lekkie naciskanie gutaperkowego nagniatacza, bieg ów znowu się wzmocni. Można w każdym czasie, za pomocą kranu na rurce przyśróbowanego do rurki służącéj do przelewania krwi, zatrzymać bieg krwi, nieodejmując apparatu od żyły; nie ma tu czego lękać się, ani przepełnienia krwią prawéj strony serca, ani też niebezpiecznego skrzepnięcia krwi, albowiem krew wchodzi w ciało, bez użycia siły i do tego, wchodzi zupełnie ciepła. Oprócz powyższych, apparat ma jeszcze i tę zaletę, że się nie prędko psuje i snadno może być utrzymanym w czystości.

W broszurze Doktora Gezeliusa opisany był apparat mniéj praktyczny; tu, opisaliśmy nowy, przez samegoż wynalazcę ulepszony. Uważamy za obowiązek wyznać, że pomysł tego przyrządu, będzie miał wielką przyszłość, i że imię Doktora Gezeliusa, za pośrednictwem wynalezionego przezeń apparatu, na zawsze pozostanie związane z historją przelewania krwi. *L. Orzeszko.*

Wiadomości Techniczne.

— **Restauracja mechaniczna.** W Bostonie inżenier Rild urządził restaurację na nowy zupełnie sposób. Pokoje dla gości zastawione są stolikami, lecz niema przy nich służby. Każdy wchodzący otrzymuje przy wejściu bilet z numerem i winien usiąść przy stoliku takim samym numerem oznaczonym. Na stoliku znajdują się guziki ze słoniowej kości, połączone sprężyną z dolnem piętrem, gdzie się mieści kuchnia; na guzikach tych wypisane są gatunki potraw, których dostać można. Za przyciśnięciem guzika opuszcza się na dół środkowy krążek stołu i po chwili podnosi się z podaną potrawą. W téjże saméj chwili z kuchni dają znać telegrafem, jaka potrawa i pod który numer podaną została; tym sposobem przy wyjściu gość oddając bilet z numerem otrzymuje gotowy rachunek. Wynalazek ten jest bardzo dogodnym bo usuwa nieprzyjemne częste stosunki ze służbą i o wiele zyskuje się na oszczędności, bo obsługa w kuchni nie jest tak kosztowną jak w pokojach gościnnych Inżenier Rild otrzymał już polecenie urządzenia podobnych kuchni w kilku restauracjach Londyńskich i Paryzkich.

ROZMAITOŚCI.

— **Portret Wołodego Skiby,** autora drukowanych w piśmie naszem powieści *Dziwni ludzie, Karczma w lesie, Samobójca, Na gorącym uczynku* i współautora niedawno ukończonéj powieści p. t. *Straceni*, umieszczonym został w № 29-ym z r. b. czasopisma czeskiego *Kwěty*, z dodaniem krótkiéj wiadomości o pracach tego autora. Jednocześnie prawie wychodzące we Lwowie pismo illustrowane *Mrówka* umieściło także obszerniejszy życiorys i portret tego pisarza. Porównywając oba te portrety widzimy, że pragski jest bezzaprzeczenia lepiéj trafiony, wyrysowany i odbity od Lwowskiego.

— **Trychiny** uważane są powszechnie za chorobę nową, nieznaną w czasach dawniejszych. Gdyby tak było, byłoby to rzeczywiście zadziwiającem zjawiskiem. Używanie wieprzowiny za pokarm nie powstało przecież w naszych czasach, w średnich wiekach wieprzowina była głównem pożywieniem mięsnem większéj części mieszkańców Europy. Dlaczegóżby więc dawniéj trychiny pojawiać się nie miały, kiedy pojawiają się teraz?...

Pilniejsze jednak poszukiwania wskazują, że trychinom bynajmniéj naznaczać nie można tak świeżego początku. Skutki ich były znane i dawniéj, choć obecnie dopiero poznano przyczynę. Dowód tego mamy w znakomitem dziele Sprengla p. t. *Histoire de la Médecine* Tom III, str. 93, gdzie czytamy: że w końcu XVI wieku pojawiła się w Węgrzech nieznana przedtem choroba, za któréj przyczynę uważano zbytnie spożywanie wieprzowiny. Nie ulega zaprzeczeniu że to były trychiny i że szukając daléj, znajdzie się więcé takich faktów w historji chorób.

— **Klub szlachecki w Petersburgu.** Nie ma wdzięczniejszéj publiczności dla słynniejszych artystek scenicznych nad członków klubu szlacheckiego w Nadnewskiéj stolicy. Według doniesień gazeciarskich, Adelina Patti, po ukończeniu gościnnych swoich wystąpień w tameczn'ej operze Włoskiéj, otrzymała w darze od pomienionego klubu wspaniałą broszę, ozdobioną trzydziestu jeden brylantami i perłą wielkości gruszki (?), w wartości siedmdziesięciu pięciu tysięcy franków. Przeczytawszy to doniesienie przypomnieliśmy sobie dar jeszcze kosztowniejszy tegoż samego klubu, którego sposób ofiarowania zasłużonéj artystce przedstawia tak zajmującą i piękną scenę, że postanowiliśmy opisać ją naszym czytelnikom.

Przed pięcią laty, Paulina Lucca ukończyła swoje role gościnne w Petersburgu, gdzie z niesłychanem była przyjmowaną zapałem. Od kilku tygodni wywodziła ona już znowu swoje trele w narodowym teatrze berlińskim, gdy pewnego dnia przed jeneralnym intendentem widowisk królewskich panem von Hülsen stanęło trzech panów przybyłych ze stolicy Piotra W. jako deputacja petersburgskiego klubu szlacheckiego. Mówca oświadczył, że tak on, jako i dwaj jego towarzysze umyślnym pociągiem przysłani zostali do Berlina, by w ocenieniu zasług Panny Lucca i jako wyraz wdzięczności arystokracji ruskiéj, za rozkosznie w ciągu jéj przedstawień spędzone chwile, złożyć jéj świeży bukiecik. Poselstwo to prosiło jednocześnie pana Hülsen, aby mu raczył wskazać, w jaki sposób możnaby się jak najdelikatniéj z missji téj wywiązać. Intendent objawił natychmiast wszelką ze swéj strony ku temu gotowość, lecz bardzo naturalnie, życzył sobie przedewszystkiem zobaczyć ów bukiet, do którego przewiezienia i wręczenia potrzeba było aż trzech ludzi i extrapociągu. Czyniąc temu zadosyć, mówca poprosił go do okna wychodzącego na ulicę i wskazał mu powóz stojący przed drzwiami, na którym w wielkiem i ozdobnem pudle znajdować się miał ów wonny podarunek. Pan Hülsen rozkazał pudło z największą ostróżnością wnieść do pokoju i odkrywszy wieko, ujrzał rzeczywiście—bukiet mający trzy stopy średnicy, złożony z najpiękniejszych białych kamelji (było to śród zimy), otoczony białym, złotem haftowanym atłasem, w głębi którego, jakby dla uznania religijnéj pobożności artystki, spoczywał wielki krzyż ułożony z fijołków. Środek bukietu składał djadem z pięćdziesięciu dużych brylantów, który na ciemnem tle fijołków tysiącem jaskrawych żarzył się promieni. Dolną część bukietu otaczały dwie białe atłasowe wstążki obszyte szczerozłotą frendzlą, na których były złotem wyhaftowane nazwiska arystokratycznych ofiarodawców, członków klubu petersburgskiego.

Pan Hülsen zdumiony pięknością i kosztownością tego arcydzieła kwiatowego, oznajmił deputacji, że ofiarowanie jego nie powinnoby się zwyczajnym odbyć sposobem. Jakoż, pod pieczęcią najgłębszéj tajemnicy zrobiono stósowne do tego przygotowania. Na wieczór była zapowiedziana opera Niccolai'ego ,,Wesołe kobiety z Windsor,'' w któréj Paulina Lucca występowała w roli ,,pani Fluth.'' Znakomity basista opery królewskiéj, Edward Bost, podzielający w téj operze tryumfy artystki, jako ,,Sir John Falstaff'' został w tajemniczony do téj sprawy, i pudło z przepysznym bukietem przeniesiono wieczorem do domu opery i zamknięto w jednym z pokojów garderoby.

Pod koniec widowiska, ,,pani Fluth'' mniéj więcéj temi słowy przemawia do Falstaffa: ,,Panie John, nieszczęśliwie nam się powiodło, bo nie mogliśmy się zejść z sobą. Odtąd nie uczynię cię moim rycerzem, lecz pozostaniesz zawsze mojem poczciwem stworzeniem.'' Falstaff odpowiada: ,,Zaczynam się domyślać, że mnie na jakiegoś osła wykierowano.'' Poczem dodał z własnego natchnienia: ,,Mimo to jednak, moja dobra, kochana pani! nie czuję żadnéj do ciebie nienawiści i na dowód że zawsze jeszcze jestem ci życzliwy, pozwolisz mi, że przed zejściem ze sceny, złożę ci bukiecik kamelji i fijołków, który, mimo przykréj pory roku, umyśl-

nie z Petersburga dla pani sprowadziłem.“ Paulina, uderzona temi wychodzącemi z zakresu roli słowami Sirjohn’a, spojrzała nań ze zdumieniem swemi wielkiemi, pięknemi oczyma, a publiczność niecierpliwie dalszego czekała rezultatu. W tej chwili pan Hülsen skinął nieznacznie na dyrektora orkiestry i nad wszelkie spodziewanie zabrzmiał w sali narodowy hymn rossyjski, poczem trzech deputatów w stroju krajowym, wystąpili na scenę i złożyli u stóp utalentowanéj śpiewaczki ów wspaniały i kosztowny podarunek. W pierwszéj chwili, uczczona w taki sposób primadonna, stanęła jak posąg wpatrując się z niedowierzaniem w przepyszny bukiet i jego dawców; wkrótce atoli radośnem przejęta rozrzewnieniem, zalała się łzami tak, że zaledwie kilka słów wdzięczności wyjąkać zdołała. Publiczność zrozumiała szybko położenie artystki i długo jeszcze po spuszczeniu zasłony rozlegały się w sali huczne grzmoty oklasków.

Na odwar bierze się 8 gramm korzeni drobno usiekanych, téj rośliny i gotuje się w dwóch kwartach wody, przez półgodziny, a raczéj do wygotowania się $1/4$ części takowéj.

Skoro symptomaty ospy zdeklarują się, daje się choremu odwaru letniego w ten sposób przygotowanego po pół szklanki co kwadrans w przeciągu pięciu do sześciu dni, gdyż nader rzadko się zdarza, że ospa pod działaniem tego środka trwa dłużéj.

Korrespondencja od Redakcji.

— **Panu Ed... Wr..** Ściśle wykonanie dwóch pierwszych żądań, a mianowicie: ażeby pismo nasze nie w poniedziałek lecz w sobotę znajdowało się już w księgarniach i kantorach tudzież, ażeby dodatki składające Czytelnię Domową, wychodziły zaraz po pierwszym każdego miesiąca, nie zawsze zależy od woli i chęci Redakcji, która niekiedy, co się przecież



Fig. 4. — Przelewanie krwi.

— **Lekarstwo od ospy.** Czytamy w gazetach Francuzkich, że p. Mille, aptekarz z Bourges, wyleczył 500 ludzi od ospy za pomocą odwaru lub syropu rośliny amerykańskiéj, technicznie zwanéj *Sarracenia purpurea*, któréj gatunki inne znane są w ogrodnictwie forsownem pod nazwami: *S. flava, S. rubra, S. Drummondii, S. nudolata, S. psittacina, i S. variorolis.* Liście téj rośliny podobne są do tutki z papieru i opatrzone wewnątrz haczykowatemi włoskami, które owady zaglądające w głąb tych liści więżą, i wyjść niedozwalają.

Własności téj rośliny lecznicze przeciwko ospie oddawna są znane Indjanom, którzy odwaru jéj używają nie tylko jako lekarstwa na tą chorobę, ale i jako prezerwatywę od niéj.

„Co jest szczególném, odzywa się doktór Morris o téj roślinie, że jakkolwiekby ospa była rozwiniętą i straszną, po wykurowaniu z niéj odwarem z saraceny, żadne ślady na ciele nie zostają.“

dosyć rzadko zdarza, zewnętrzne, zupełnie od niéj niezawisłe napotyka pod tym względem przeszkody. Spełnienie trzeciego żądania: ażeby druk, zwany petitem, mógł być z Opiekuna Domowego usuniętym, nie wszystkichby może zadowolniło Czytelników. Są bowiem tacy, którzy należycie pojmują, że tego rodzaju druku dla tego jedynie używamy, by w szczupłych ramach naszego pisma jak najwięcéj pomieścić materjałów. Ostatniemu nareszcie życzeniu powiększenia formatu Op. Dom. Redakcja nie omieszka uczynić zadosyć, skoro tylko jéj środki materjalne na to pozwolą.

— **P. Piotr...** *w Czerwonéj.* Ryciny humorystyczne, bywają we wszystkich naszych i zagranicznych pismach zawsze karykaturalne. Redakcja więc, będąc z programu swego obowiązaną zamieszczać humoreski, karykatur uniknąć nie może. Zresztą karykatury nasze tak są obmyślane, że nawet najniewinniejszych oczów płci pięknéj, za którą pan tak rycersko się ujmujesz, obrażać nie mogą.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. — **Redaktor,** Stanisławski Oskar.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.